ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 1. Czerwca 1892. **Nr. 11.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

PIOTR WŁAST,

PALATYN WROCŁAWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Księżna sama z południa, ustroiwszy się, dumna, śmiała i zagniewana poszła do męża. Co mu się stało, nie umiała odgadnąć, ale czuła niepokój i trwogę, był zmieniony. Najczęściej niewiasta, gdy się lęka, sama usiłuje zastraszyć, tak się i teraz stało. Wpadła nań Agnieszka z góry, iż się z nią wysokiego rodu panią, jak z jakąś niewolnicą śmiał obchodzić. Posypały się łzy i groźby. Przyszło do tego, iż księżna oddaleniem się i powrotem do Niemiec odgrażać się zaczęła.

Władysław słuchał spokojnie.

— Więc — rzekł, gdy dokończyła narzekania, — zabierajcie się, miłościwa pani, razem z Dobkiem i szukajcie sobie gdzieindziej miejsca, ja tu rządzę i rządzić chcę.

Ledwie wyrazów tych domówił, gdy księżna z gniewem przyskoczyła ku niemu.

— Hę! — krzyknęła — juści ktoś Dobka w nienawiść podał. Już! Już ci to wierny sługa szkodzi, bo go drudzy za wierność nienawidzą i szkalują! A mnie z nim, aby się mnie i jego pozbyli!

Władysław nic nie odpowiadał w początku, lecz zakłopotany był i mięszał się, a księżna nastawała.

— Mówże? z kimeś przestawał? kto ci to splótł, bezkarnie mu to nie ujdzie! Żywą nie będę, póki nie pomszczę się na zuchwalcu. Gardło da! gardło musi dać!

Ale napróżno siliła się, następowała nań, targała Agnieszka, nie wymógła na nim nic, kazał jej iść precz.

Wnet ludzi, którzy księciu towarzyszyli na łowach wzięto na spytki, kędy bywał, z kim się spotykał. Czeladź pomniejsza nie kryła się z tem, że stawali we Wrocławiu, kędy ich pojono i przyjmowano, że książę Petrka zabrał z sobą, i że razem potem w szałasie noc spędzili.

Więcej Agnieszce nie było potrzeba. Wpadła do męża natychmiast, pomsty na Petrka wołając.

— Nie może to tak być — wołała krzycząc i rozbijając się, — albo ja ztąd z dziećmi precz idę do cesarza brata mego, z żałobą i prośbą, aby ten kraj cały zwojował i zniszczył, lub ten Petrek gardło musi dać. I nim gardło da

zbrodzień, oczy mu wyłupić, nim gardło da język mu podły wyrzezać każę i psom rzucić... psom!

Na krzyk przenikający księżnej, który się po całym zamku rozchodził, nadbiegły niewiasty i na rękach, miotającą się wyniosły do izb jej, gdzie chora na łożu legła.

Za nią zaraz wpadł Dobek, z szałem, z zaklęciami, do nóg padając księciu, na obmówcę domagając się sprawiedliwości, wzywając go na Sąd Boży.

•Wśród tych wrzasków książę dzień cały przetrwawszy, przemęczywszy się, już innym stał się. Agnieszka leżała na łóżku, które dzieci płacząc otaczały. Na widok ich serce ojcowskie zmiękło, sam siebie naprzód, potem Petrka obwiniać zaczął.

Dowodu przeciw Palatynowi więcej nie było potrzeba.

Dobek się zaklinał, że jeden z nich dwu paść musi, że niema innego środka, tylko buntownika i potwarcę śmiercią karać. A stawał tak śmiało i zuchwale, że w końcu książę zamilkł i zdawał się na wszystko przyzwalać. Nie mówił jeszcze nic, żonę jednak pocieszać i łagodzić zaczął. Ta zemstą najzajadlejszą wraz z Dobkiem dyszała.

Dnia jednego rano, Dobek, który już całe swe zuchwalstwo odzyskał, przyszedł do księcia we zbroi, przy mieczu, jakby się w drogę wybierał. Pokłonił się do kolan, na twarzy mu jaśniała radość i niecierpliwość, źrenice pałały.

— Miłościwy książę, jadę z rozkazaniem waszem! — zawołał — klnę się, że nie powrócę, aż je spełnię jako należy.

Książę Władysław popatrzał strwożony, i rękę podnosząc do góry, rzekł:

— Ale gardła mu nie brać! gardła nie brać, mówiłem.

— Najbezpieczniejszy niedźwiedź, gdy zabity! — mruknął Dobek.

— Nie chcę, by zabity był... nie chcę! — przerwał książę stanowczo. — Stanie się li przeciw rozkazaniu mojemu, pomszczę nieposłuszeństwo! Na święte relikwie zaprzysięgam! Gardła mu brać nie dozwolę. Nie!

Dobek zamilkł.

Masz czego chciałeś, — dodał książę jąkając się — niech oczyma przypłaci, więcej nie trzeba. Daruję ci po nim skarbiec i mienie. Idź i spraw się jako wiesz. Pomsty tej dosyć dla mnie i dla ciebie. Życia mu nie chcę wziąć, aby pokutował. — Po kilka razy Władysław powtórzył niespokojnie: — życia nie brać, bom to poprzysiągł.

Milczał Dobek, lecz nie odchodził.

— A jeźli się bronić będzie i kaleczyć? — spytał.

Władysław odwrócił się gniewny.

— Azaż ludzi i rozumu nie masz, żebyś mu się bronić dał? — zawołał. — Jadłem chleb z nim, spał u mojego boku, ojcu służył, nie chcę go zabijać. Nawet oczów!... Wziąć go i osadzić. Zobaczymy co uczynię. Żebrakiem w świat...

Książę mówił, nie kończył, urywał, poruszony był, a gdy Dobek kłaniając się odchodzić chciał, dodał:

— Pomnij Dobek, żem ja na relikwie przysięgał! Uczynisz nad to? tyleż z ciebie wezmę! wezmę!

Dobek był już za progiem, biegł do księżnej, która nań czekała.

— Dał wyrok na życie! — zawołała niecierpliwa — dał!

— Nie... i zagroził mi, gdybym rozkaz przestąpił, zagroził mocno.

— Nikczemny człek, co zemsty nie czuje! — odezwała się księżna z gniewem — policzek wziął i karać nie śmie! Lituje się!... Weź życie! ja za tobą obstanę! Niech gardło da! Rodowi nie darować, wytłuc i wydusić, dwór spalić, zniszczyć... Sługom nie przebaczyć! Nikomu! nikomu!

Księżna coraz mocniej rozgorzała, mówiła Dobka za suknię targając:

— Niepowinien żyć, kto się przeciw mnie ważył! Kołem szarpać, na pal wbić, końmi rozerwać nikczemnika! Męczyć go, i niech wie, z czyjej ręki zemsta przychodzi... A puścisz go i nie ujmiesz, nie pokazuj mi się na oczy...

Dobek ze swymi pociągnęli do Wrocławia.

VIII.

Dobek wyjeżdżając z Krakowa ku Wrocławiowi, nie wielką z sobą zabrał ludzi gromadę, ale dobrał za towarzyszów, najposłuszniejszego, wyprobowanego niewolnika, nawykłego, ślepo spełniać jego rozkazy. Siłą Palatyna Petrka wziąć nie zamierzał, aby uderzywszy nań, nie wywołać rozpaczliwego oporu, nie ściągnąć niebezpiecznej odsieczy; ufał w wielką zręczność swą, a przebiegły był i chytry, umiejący się okryć taką szatą, jakiej mu było potrzeba. Spodziewał się, że go tam żadna wieść i przestroga nie poprzedzi, że się żadnej zemsty i napadu nie domyślają i nie lękają. Ułożył więc sobie najście tak, aby o niem ludzie nie dowiedzieli się, aż gdy zostanie spełnione.

Biegł tak z ludźmi swojemi z pośpiechem wielkim, aż pod Wrocław sam, a tu przybywszy, gromadę swą, wedle myśli na czatach dokoła rozsypał, stać każąc na zawołanie. Umówione były i obrachowane godziny, znaki i hasła.

Z kupką małą, nie groźną wcale, pod wieczór przyjechał Dobek pod wrota dworca pana Petrka.

Wiedział dobrze, iż mu tu ani wierzą, ani sprzyjają, ale i to znał, że przybywającemu z twarzą wesołą, z ludźmi niewielu gościny nie odmówią, źle nie przyjmą.

Chmurny dzień był, wiało śniegiem gdy do wrót kołatać zaczął. Tu, wedle zwyczaju, opowiedzieć się każdy musiał, kto był i z czem przybywał.

Zdziwił się mocno Palatyn, gdy w izbie swej odpoczywając, cale nie gotów na przyjmowanie gości, posłyszał, iż Marszałek Dobek z małym orszakiem ludzi, wprost z Krakowa przybył pilno, wioząc dlań od księcia rozkazy ważne i tajne.

Zmarszczyło mu się czoło, bo zgadnąć nie mógł co go czekało, ażali nie wezwanie do stawania przeciw książętom i sumieniu, natychmiast jednak otwierać kazał, kożuch nowy narzucił na siebie i jak należało wyszedł na spotkanie.

Dobek u wnijścia z konia rześwo skoczył, i jakby się z sobą nigdy nie waśnili, zbliżył się witając gospodarza obliczem spokojnem i wesołem.

Chciał go, dla uczczenia, do izb gościnnych prowadzić Petrek, ale się oparł przybyły, powiadając, że mało co pozostanie u niego, spocząć tylko trochę pragnie i prosi by sam na sam w ciepłej izbie posiedzieli.

Palatyn poprowadził go do swojego mieszkania, gdzie ogień palił się wielki, zaraz każąc podawać jadła a napoju też co przedniejszego dosyć, bo wiedział, że Dobek jak wszyscy niemcy, rad pił. I rad go był spoić, bo mu się bezpieczniejszym zdawał, gdy głowę zalał.

Siedli tedy za stół, spoglądając sobie w oczy.

Petrek też umiał gdy chciał i twarz ułożyć i mowę. Tak ci dawniej, gdy Wołodara miał brać, ucztował z nim wesoło, niedając po sobie poznać, co w sercu trzymał.

Kolnęła go ta myśl, ażali i Dobek z nim tak nie postąpi, ale ją precz odpędził. Gdy mu w twarz uśmiechającą się spojrzał, ani troski na niej, ani zakłopotania nie wyczytawszy, powiedział sobie w duchu:

— Utaił by się przed innemi, nie przedemną! Niema w nim nic! Dobek wyśmienicie udawał człowieka dworskiego, który o swem życiu myślał tylko i niem się rozkoszował.

— Zwiastowano mi — odezwał się głośno, — że od księcia pana miłościwego niesiecie coś ważnego i tajnego. Macie rozkazanie jakie?

— Hę! — rozśmiał się Dobek — jak się wam zda? Możem ja was tak umyślnie zwiódł, aby mi prędzej wrota otwarto, bym na tej srogiej zamieci nie stał! Cóż, uwierzyliście?

— A czemuż bym słowu waszemu wierzyć nie miał? — odparł Petrek. — Wszakże jestem sługą księcia i na jego rozkazy gotów zawsze.

— A ja rozkazów dla was tymczasem nie mam żadnych — rzekł żartobliwie Dobek — i jak tu co od was żądać, kiedy wy jawnie sprzyjacie tym, co księciu się opierają!

Petrek ramionami poruszył.

— Komuż i jak? — zapytał.

— Młodszej braci naszego pana, których on rad by wygnać precz.

— Myślę, że księciu się tego odechce, gdy lepiej sprawę rozważy, — dodał Petrek.

— A no! może! — rzekł Dobek popijając. — Kto to tam wie?

Udał jakby mu to było zupełnie obojętnem. Dolewał coraz do kubka gospodarz i rozprawiali o rzeczach obojętnych dosyć wesoło, gość przy ogniu i winie stawał się coraz lepszej myśli.

— Dobra u was gościna! — mówił przybyły — dostatek wszystkiego jak u udzielnego księcia!

— Używajcież zdrowi — odparł Petrek. — Nie długo czekać, przy łasce pańskiej i wam też na niczem nie zbraknie.

— Właśnie na to ja pracuję! — chytrze rzekł Dobek — byle mi się powiodło, rychło do tego dojść się spodziewam.

Zaśmiali się oba, każdy inną myśl mając w sobie.

— Gdzież książę teraz? — spytał Palatyn.

— Jest dotąd w Krakowie — począł Dobek obojętnie — ale się zbiera do wojska, bo wam to nie tajno, że jeżeli młode książęta dobrowolnie się nie poddadzą, siłą ich do posłuszeństwa przyprowadzimy, książę sam tu panem musi być.

Petrek, którego naumyślnie zdawał się tem chcieć drażnić gość, wolał zmilczeć.

— My to dobrze wiemy, — ciągnął dalej poufnie niby — że ziemianom nie na rękę zmiana będzie. Wolą oni małych panków mieć kilku niż jednego silnego, co ich w garść żelazną weźmie. I księżom biskupom król nie w smak pewnie, ale go przełknąć będą musieli.

Petrek głowę spuścił, nie mówił nic.

— Wszystko to wiemy — odparł po długiej chwili chłodno.

Dobek postrzegł, że gospodarz do picia go zachęcając, sam nie wiele do kubka zaglądał i począł naglić, aby do niego przepijał. Wtem Roger Starosta, nie odstępujący prawie nigdy Palatyna zjawił się w progu.

Widzieliśmy go już raz jakim był z lica a lice to nie kłamało; w sile wieku mąż, umysłu był nieustraszonego i na przebiegłości mu nie zbywało.

Tknęło go to mocno, iż ów Dobek który tu nigdy nie bywał od dawna, a po odmowie trzymanej, jawnym był Palatyna wrogiem, zjawił się nagle poufałym, serdecznym, jakby nigdy nic nie zaszło między niemi. Przybywał więc z bliska się przypatrzeć temu, co się tu działo. Nawzajem Dobek, który znał dobrze Rogiera i charakter jego, nie rad przybyciu, oczy spuścił, zmięszał się, i nie mógł ukryć, że mu nie był na rękę. Pomimo to pozdrowili się wzajemnie, Roger stanął skromnie za panem Petrkiem, nie mając ochoty mięszać się do rozmowy, lecz uparcie patrząc w gościa jak w tęczę.

Dobka to tak mięszało, twarz mu się schmurzyła i skrzywiła tak wyraźnie, że i Petrek poczuł, iż przytomność Starosty wadziła Niemcowi.

Czerwienił się, bełkotał, mięszał teraz, gdy przed chwilą, sam na sam z Petrkiem, aż do zbytku śmiałym się okazywał. Nadąsany, zaglądał tylko do kubka coraz żywiej, wargi gryzł i odwracał się wejrzeń Rogiera unikając. Ten, jakby nierozumiał, stanąwszy raz w miejscu swem, nie mówiąc słowa, trwał jak wmurowany.

Rozmowa zerwała się, Dobek poczynał o zimie, śniegu, łowach, psach, naprawdę sam nie wiedząc o czem, nadrabiając niezgrabnie wesołością fałszywą. Bał się już, aby mu z lica nie wypatrzono zdrady, którą miał w duszy.

Biesiadowali tak, ale Palatyn łacno postrzegł, iż przybycie Rogiera wpłynęło na gościa dziwnie, i że nie swój był a niemal gniewny, choć udawał ochoczego.

Rogier stał ciągle milczącym tylko świadkiem. Petrek podsunął mu kubek, odmówił dziękując.

Gadali niby wciąż, byle nie milczeć, a tym czasem i noc nadeszła. Starosta

w ostatku, rzuciwszy raz jeszcze oczyma bystremi na Dobka, wysunął się z izby po cichu.

Gość też ruszył się z siedzenia.

— A co, gospodarzu miły — odepił, w głowie mi zaszumiało! Teraz już do ważnych spraw nie pora, język by mi się plątał, jutro pomówimy o tem. A co, mam sobie gospody szukać, juścić mi pod waszym dachem, z ludźmi mo-



Powrót taty. (Obrazek do balady Adama Mickiewicza).

zwał się, jak by odzyskując swobodę, gdy zostali sami, — może to i prawda, żem ja poselstwo jakieś od księcia do was wiózł, że je za nadrą trzymam, alem przy trzecim mówić nie chciał. Oto i noc już, jam się waszego ciepłego wina jemi dacie odpocząć. Jutro dokończymy rozmowy.

— Niech i tak będzie! — rzekł Petrek wesoło, — juściżem ja w życiu mojem nikomu nie odmówił gościny. Syn mój pójdzie spać gdzieindziej a wam

swojej izby i posłania ustąpi. Spoczywajcie zdrów.

— Bardzo mi potrzeba już ledz — dodał Dobek bijąc się po piersiach — boście mnie do zbytku opoili!

To mówiąc podali sobie ręce, Petrek klasnął na marszałka dworu i gościa prowadzić kazał do izby, a ten szedł tak wesoło i swobodnie, jakby o niczem nie myślał oprócz spoczynku.

Zaledwie się Dobka pozbyli, gdy Rogier Starosta, który podle czekał w komorze, wszedł nazad do izby.

— Panie mój, — odezwał się do Petrka — cóś mi ten Dobek, gość wasz nie do smaku, boję się go!

— A czegożbym ja od niego w swoim własnym domu miał się lękać? — odparł Petrek. — Co ci się śni?

— Dzikiemu, zdradliwemu zwierzęciu, choć się łasi nie wierzę — rzekł Rogier. Po co tu przybył? Juści nie darmo, i nie dla żartów z wami!

Palatyn się śmiać począł.

— Idź spać, stary mój! — zawołał — niema tu strachu dla nikogo, chyba dla niego. Gdy się on nie boi, czegoż my obawiać się mamy?

Starosta głową pokręcił, westchnął, nie powiedział nic, pożegnał się z Petrkiem i poszedł do dworku, który miał na tymże dworcu u muru do Opactwa św. Wincentego przytykającego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POWRÓT TATY.

(BALLADA Z RYCINĄ).

Pójdźcie, o dziatki, pódźcie wszystkie razem,
Za miasto, pod słup, na wgórek:
Tam przed cudownym klęknijcie obrazem,
Pobożnie zmówcie paciorek.

»Tato nie wraca; ranki, wieczory
We łzach go czekam i trwodze:
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
I pełno zbójców na drodze.«

Słysząc to dziatki, biegą wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek;
Tam przed cudownym klękają obrazem
I zaczynają paciorek.

Całują ziemię, potem w imię Ojca,
Syna i Ducha Świętego,
Bądź pochwalona Przenajświętsza Trójca
Teraz i czasu wszelkiego.

Potem: Ojcze nasz i Zdrowaś i Wierzę,
Dziesięcioro i koronki:
A kiedy całe zmówili pacierze,
Wyjmą książeczki z kieszonki.

I litanią do Najświętszej Matki
Starszy brat śpiewa, a z bratem:
»Najświętsza Matko,« przyśpiewują dziatki,
»Zmiłuj się, zmiłuj nad tatem!«

Wtem słychać turkot. Wozy jadą drogą
I wóz znajomy na przedzie;
Skoczyły dzieci i krzyczą, jak mogą:
»Tato, ach tato nasz jedzie!«

Obaczył kupiec, łzy radosne leje,
Z wozu na ziemię wylata:
»Ha, jak się macie, co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do tata?

Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot rodzynki w koszyku...«
Ten sobie mówi, a ten sobie mówi,
Pełno radości i krzyku.

»Ruszajcie, kupiec na sługi zawoła,
Ja z dziećmi pójdę ku miastu.«
Idzie... aż zbójcy obskoczą dokoła,
A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa;
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku ogromna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszcz na łonie,
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wzniósł dłonie:

»Ach bierzcie wozy, ach bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo,
Nie róbcie małych sierotami dziatek,
I młodej małżonki wdową!«

Nie słucha zgraja. Ten już wóz wyprzęga,
Zabiera konie; a drugi
»Pieniędzy« krzyczy i buławą sięga,
Ów z mieczem wpada na sługi.

Wtem: »Stójcie, stójcie!« krzyknie starszy
I spędza bandę precz z drogi, [zbójca
A wypuściwszy i dzieci i ojca,
»Idźcie, rzekł, dalej bez trwogi.«

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
»Nie dziękuj; wyznam ci szczerze,
Pierwszybym pałkę strzaskał na twej głowie,
Gdyby nie dziatek pacierze.

Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało, opowiem.

Zdawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja i moje kamraty,
Tutaj za miastem, przy wzgórku, u słupca,
Zasiadaliśmy na czaty.

Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrósty:
Modlą się dziatki do Boga;
Słucham: z początku porwał mię śmiech pusty,
A potem litość i trwoga.

Słucham: ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki:
Ach! i ja mam żonę i u mojej żony
Jest synek taki maleńki.

Kupcze, jedź w miasto; ja do lasu muszę.
Wy dziatki, na ten pagórek
Biegajcie sobie i za moję duszę
Zmówcie też czasem paciórek.«*)

---

*) Tej pięknej balady największego poety polskiego, Adama Mickiewicza, powinny się dzieci polskie na pamięć nauczyć. Rodzice niech ich do tego zachęcą.

Przy tej okazyi polecamy piękne dzieło, wydane przez księgarnią H. Altenberga we Lwowie pod tytułem: „Ballady, romance, sonety i pomniejsze poezye Adama Mickiewicza,“ z licznymi obrazkami. Składa się ono z 7 zeszytów, każdy zeszyt kosztuje 1 m. 30 fen. Polecamy je wszystkim, a mianowicie możniejszym rodzinom polskich, dla których wydatek ten nie będzie za wielki.

O WENECYI.

(Z 2 obrazkami).

W północnych Włoszech leży sławne miasto, Wenecyą zwane. Nosi ono dumny tytuł »królowej mórz,« a to raz tego, że przed wiekami tworzyło republikę dla siebie, bogatą i potężną, której okręty liczne po morzach pływały, powtóre zaś dla tego, ponieważ leży tak blisko morza adryatyckiego, żeby można prawie powiedzieć, iż w morzu leży. Zamiast ulic wybrukowanych są w niem kanały; zamiast wozów, łodzie. W całej Wenecyi nie postała prawie nigdy jeszcze noga żywego konia. Nie trzeba jednak myśleć, ażeby tam już wcale ulic do chodzenia nie było; prawie całe miasto przerznięte jest gęstą siecią uliczek, po największej części bardzo wysokich i niezmiernie wązkich, tak że zaledwie trzy osoby przy sobie iść w nich mogą.

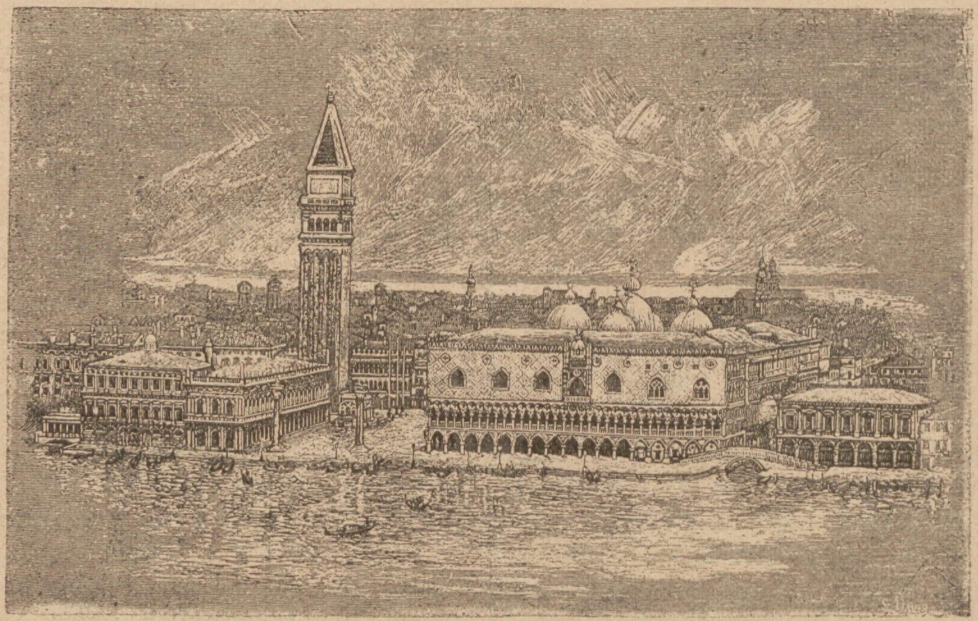
Wenecya jest do dziś miastem pięknem, ale przed wiekami była piękniejszem. Gdy kto dziś spogląda na niejeden dom czarny i jakby w ruinę zapadający, nie domyśla się może, że to pałac z marmuru zbudowany, który czas popsuł i coraz-to więcej niszczy. Ale obok tych niszczejących, są tu jeszcze bardzo wspaniałe pałace, kościoły i inne gmachy.

Jednym z najsławniejszych i najpiękniejszych gmachów jest kościół św. Marka. Stoi on na placu ś. Marka.

Przed kościołem stoją rzędem trzy maszty na brązowych podnóżach, artystycznie wypracowanych przez Aleksandra Leopardo; dawniej powiewały na nich sztandary Cypru, Morei i Kandyi, na pamiątkę pobicia tych państewek, teraz służą tylko do wywieszania podczas świąt i uroczystości weneckiej chorągwi. Pod portykami kościelnego przedsienia, są wkute w podłogę trzy płyty z czerwonego marmuru, oznaczające miejsce, na którem niegdyś papież Aleksander III przyjmował hołd cesarza niemieckiego Fryderyka Barbarossy. Przepyszne srebrne drzwi wchodowe kościoła, są zupełnie ciemne, gdyż podczas najazdu Francuzów, Włosi pokryli je czernidłem chcąc uchronić je od rabunku, jakiemu uległo wiele innych skarbów i pamiątek; dwie tylko z umysłu niepoczernione główki świadczą o prawdziwym mate-

ryale, z którego odrzwia te były wykute. W wielkiej liczbie kościołów weneckich stoi wielki ołtarz na środku głównej nawy; tak samo i tu, ołtarz wznosi się na podwyższeniu, jest otoczony rzeźbionymi słupami cudnej roboty, za nim znajduje się drugi ołtarz ozdobiony czterema przejrzystemi alabastrowemi kolumnami, pochodzącemi ze świątyni Salomona. Tu warto wspomnieć o obrazie, a raczej wielkiej złotej płaskorzeźbie, zwanej »Palla d'oro», zamówionej przez Wenecyan w Konstantynopolu w XII wieku; ganki okrążające górne sklepienie. Posadzka kościelna odpowiada sklepieniu; jest cała utkana w mozaikowe wzory.

Pałac Dożów, (tak się zwali dawniejsi władzcy republiki weneckiej) wznosi się tuż obok kościoła św. Marka. Dawniej nawet drzwi, dzisiaj zamurowane, łączyły go z nią. Pałac Dożów (obacz obrazek na str. 168), wznosi się na podwójnej kolumnadzie słupów dźwigających mur wysoki, przerywany tylko ostrołukiemi oknami sal, pałaców, a cały ułożony we wschodni deseń, z łomów białego i czerwo-



Pałac królewski, pałac dożów w Wenecyi.

jest ona nad ołtarzem umieszczona i w szkło oprawna, aby uchronić złoto od uszkodzenia; jest ono tak czyste, że zgina się za dotknięciem; odsłaniają płaskorzeźbę tylko podczas wielkich uroczystości. Wartość jej podnosi niezliczona ilość pereł i drogich kamieni, któremi jest wysadzona; olśniewają one prawdziwie swą pięknością, a zdumiewają bajeczną wielkością. Całe sklepienie kościoła św. Marka jest pokryte kolorową mozaiką, na złotem tle, przedstawiającą różne sceny z historyi św. Można je doskonale z bliska oglądać, wyszedłszy na nego marmuru, u góry otoczony ślicznemi freskami i lotnemi wieżyczkami; słupy wszystkie z białego marmuru, prócz dwóch, ciosanych w czerwonym, a oznaczających miejsce, w którem skazani za polityczne, często niedowiedzione, przestępstwa śmierć ponosili. »Scala dei Giganti« (schody olbrzymów) prowadzą na podwórze i pierwsze piętro pałacu Dożów; zostały one tak nazwane dla olbrzymich zdobiących je posągów Neptuna i Marsa, oraz Adama i Ewy. Na tych schodach odbywała się zawsze koronacya Dożów.

Przez zdumiewające swym przepychem »scala d'oro« (złote schody) wchodzi się do sal pierwszego piętra, następnie przez »scala dei Censori« (schody cenzorów) do sal drugiego piętra i muzeum archeologicznego. Sal wszystkich jest z ośmnaście, są one ogromne, ozdobione pysznie rzeźbionemi sufitami, drogocennemi malowidłami; w sali Wielkiej Rady, znajduje się największy obraz olejny na świecie, wykonany przez Tintoretta, przedstawiający »chwałę niebieską.« Ciemne i ponure krużganki pałacu Dożów prowadzą do straszliwych więzień, do »Ponte dei Sospiri« (mostu westchnień, obacz obrazek na str. 169) i do Plomb. Tu za czasów Dożów wtrącano politycznych przestępców. Niemożna pojąć zwiedziwszy te okropne kaźnie, jak więźniowie tam nieraz po dwadzieścia i trzydzieści lat żywi spędzić mogli. Wzniesienie kamienne, niczem nie pokryte, służyło im do spoczynku, ręce i nogi mieli skute tak grubymi łańcuchami, że je teraz z trudnością dźwignąć można; to też o ile piękny i wesoły jest pałac Dożów ze strony placu, o tyle straszny i ponury, chociaż okazały, jest ze strony kanału, ponad którym łączy się Mostem Westchnień z Plombami.

Pałac Dożów jest oddzielony pobrzeżem od morza; ciągnie się ono poczynając od placu wzdłuż całej Wenecyi, przeskakując mostkami przez kanaliki (takich mostków liczy Wenecya 378), dalej przechodzi ono w szerokie »Riva dei Schiavoni« (wybrzeże niewolników), ulubione miejsce spacerowe Wenecyan i zakończa się dopiero publicznymi ogrodami. Plac zwany: Piazzeta leży przy ujściu Grande Canale, ozdobiony jest dwiema granitowemi kolumnami: jedna z nich dźwiga na szczycie skrzydlatego lwa Wenecyi, druga pierwotnego jej patrona św. Teodora. Każdy z dożów zobowiązany był ze swych wojennych wypraw przywieść coś do ozdoby Wenecyi, zawdzięcza ona wiele swej wspaniałości, temu zwyczajowi; kolumny wyżej wspomniane są także podobnym wojennym łupem.

Włoskie okręciki parowe kursują ciągle od swej stacyi, znajdującej się niedaleko wybrzeża niewolników, do dworca kolei żelaznej i do wysepek otaczających Wenecyę. Między niemi uwijają się barki, łódki, gondole, te ostatnie czarno pomalowane, na przodzie upiększone żółtymi obrazkami skrzydlatych lwów weneckich, św. Jerzego walczącego ze smokiem i t. d.

Wyspa Lido, tuż przy mieście leżąca, przypomina trochę stały ląd, bo pokryta jest obszarami pól, na których uprawiają kukurydzę, morwowe drzewka.



Most westchnień w Wenecyi.

Od granicy Włoch aż do samej Wenecyi jedzie się ciągle takiemi polami, widok ich nudny i jednostajny, przerywany gdzieniegdzie mieszkaniami ludzkiemi, o dachach z okrągłej cegły, właściwych południowym kraju.

Jedną z cech weneckiego życia są koncerty wieczorne; odbywają się one czasami na placu św. Marka, który roi się wtedy od ludu, krążącego pod arkadami, lub przysłuchującego się muzycznym dźwiękom, popijając kawę przy rozstawionych dokoła stoliczkach. Częściej jednak, szczególniej podczas pełni

księżyca, łódka ozdobiona czerwonemi lampami, kierowana przez całe towarzystwo śpiewaków, płynie wieczorem przez Grande Canale, zajeżdża przed każdy hotel, śpiewając różne pieśni, jak: Santa Lucia, Rialto i t. d., a za nią ciągnie cały szereg gondol zapełnionych cudzoziemcami, szczególniej anglikami, których w Wenecyi na każdym kroku spotkać można. W końcu jednakże znudzą codzień powtarzane pieśni i podróżni wolą przypatrywać się morskiemu krajobrazowi, oblanemu promieniami księżyca, kościołom i pałacom wodnego grodu, odbijającym białością swych marmurów, na tle szafirowem nieba, aniżeli przysłuchiwać się tym jednostajnym ludowym pieniom. »Grande Canale« przerzyna Wenecyę w kształcie olbrzymiego S; prędko jadąc, przebyć go można w pół godziny, myśmy jednak nie mogli dotrzeć na przeciwległy jego koniec, gdyż zwykle zwiedzaliśmy jaki pałac lub kościół po drodze, albo mimowoli dłużej zatrzymywali gondolę, przypatrując się gmachom otaczającym go, omszonym tylu różnemi kolejami losu, przez które przechodziła ta »Królowa Adryatyku«, a które i na nich znaczne pozostawiły ślady. Większa część tych pałaców, kolebek potężnych rodów weneckich, dziś na czysto praktyczne obrócona została cele; jedne wziął w posiadanie główny urząd poczt, drugie służą za skład wielkiemu zakładowi fabrycznemu, inne zupełnie niezamieszkałe w okropny stan opustoszenia i zniszczenia popadły; większej ich liczby wcale nawet zwiedzać niewolno.

Zwiedzając raz kościoły »Santa Maria del Orte« i S-ta Giovanni e Paulo«, położone za placem św. Marka, wywiózł nas gondolier na pełne morze, zkąd zdaleka widać było czerwonym murem otoczony cmentarz wenecki, którego jednak zbliżająca się chwila wyjazdu na Lido, zwiedzić nam niedozwoliła.

Warto jeszcze wspomnieć o Campanilli czyli wieży św. Marka, wznoszącej się z placu weneckiego patrona ponad wszelkie najwyższe szczyty miasta. Przepyszny widok ma się przedstawiać z jej wierzchołka, nietylko na Wenecyę, ale aż na ląd włoski i dal morską, wchodzi się na nią nie schodami, lecz równią pochyłą. Podnóże wieży zdobi rodzaj włoskiej terassy, lodźiettą zwanej, w różowym marmurze wykutej przez Sansowina, odznaczającej się lekkością i wdziękiem, w około zaś zalegają zwykle bruk, pożywienia szukając gołąbki św. Marka. Nie różnią się one niczem od naszych pospolitych domowych gołębi, mają takiej samej szaro-burej barwy piórka, odznaczają się chyba ogromną mnogością i zadziwiającem oswojeniem, posuwającem się aż do siadania każdemu obcemu sypiącemu im ziarno, na ręce i ramiona.

Dowcipni włosi ofiarują dla nich przechodniom torebki z pożywieniem, ale nie darmo. Włoch nigdy nic bez zapłaty nie zrobi, a tembardziej nie da; dla własnych więc gołębi, na utrzymanie, których mają raz na zawsze przeznaczony żelazny kapitał, każą przybyszom ziarno kupować, podwójnie zarabiając tym sposobem.

Już to żaden chyba naród nie posunął chciwości i przebiegłości w wyzyskiwaniu przejezdnych, do tego stopnia, co Włosi; plac św. Marka zalegają zwykle przewodnicy, ofiarujący swe przewodnictwo po kościołach i pałacach, każąc sobie potem niesłychane sumy płacić.

Warto Wenecyą widzieć, to pewna, ale cudzoziemcowi tylko ją obejrzeć i odjechać. Polak każdy, któryby aż tamdotąd zajechał, cieszyć się zrazu będzie niezwykłymi widokami, ale wkrótce sprzykrzą mu się, bo choć piękne, ale obce; podobają się oczom czas niejaki, nie przywiążą serca do siebie. Bo Pan Bóg sercu polskiemu dał polską ziemię, polskie rzeki, pola, lasy, polskie miasta i wsi do kochania. Dla tego też, choć one nie tak piękne, jak zagraniczne, tęsknimy do nich i nie przykrzą się, choć ciągle w nich przebywamy. Każde stworzenie lgnie do tego, co jego najbliższe; jak czajka do wody, tak my dzieci polskie do polskiej ziemi lgniemy.

DOBRA I ZŁA KSIĄŻKA.

Dobra książka — to przyjaciel,
Co cię pewnie kocha, bracie,
A zła książka — to wróg wielki,
Chce jak szatan rządzić w chacie.

Dobra książka — to przyjaciel,
Co ci zawsze szczerze radzi,
A zła książka — to wróg wielki,
Na manowce cię sprowadzi.

Dobra książka — to przyjaciel,
Co wskazuje, jak wieść życie,
A zła książka — to wróg wielki,
Co truciznę szerzy skrycie.

Dobra książka — to przyjaciel,
Co otwarcie ci wciąż życzy,
A zła książka — to wróg wielki,
Co cię pragnie mieć w zdobyczy.

Dobra książka — to przyjaciel,
Który nie zna, co wykręty,
A zła książka — to wróg wielki,
Co piekielne ma ponęty.

Chciej więc cenić przyjaciela,
Co ci zbożnie służyć może,
A omijaj twego wroga,
Byś nie biadał w przyszłej porze...

Miej się przed nim na baczności,
Byś nie popadł w zgubne sidła,
Bo zła książka, ten wróg wielki,
Niezliczone ma mamidła.

Strzeż się zatem, drogi bracie!
Zawsze szukaj przyjaciela,
Bo on pragnie twego dobra,
On jedynie rozwesela!

Józef Chmielewski.

KATAKUMBY.

Z osobliwości, jakie się w Rzymie znajdują, wymienić wypada katakumby. Są to niezmiernie długie i kręte ganki podziemne, gdzie promień słońca nie dochodzi, gdzie jest wiecznie cicho, zimno i smutno. Te katakumby rozciągają się kilka mil wzdłuż i wszerz około Rzymu. Jest to straszliwy podziemny labirynt, z którego bez przewodnika wyjśćby nie można. Katakumby są ręką ludzką zrobione, a to tym sposobem:

W ziemi około Rzymu znajduje się piasek, z którego robią doskonały cement do budowania. Od niepamiętnych czasów, z jakie 700 lat przed Narodzeniem Chrystusa, Rzymianie kopali głębokie jamy, szukając tego piasku do murowania. Miasto Rzym coraz się powiększało, coraz więcej budowano domów, pałaców i innych gmachów; coraz też więcej wykopywano z pod ziemi owego piasku. Ażeby zaś ziemia się nie zawaliła, nakazano tak kopać, ażeby pod ziemią powstały tylko ganki, a nie długie i szerokie próżne miejsca. Przez kilka wieków wykopano tyle piasku, że podziemnych ganków tyle się utworzyło, iż powstały jakby podziemne ulice jakiego ogromnego miasta zakopanego. Są tam jedne katakumby głębsze od drugich, jakby piętra, do których schodzi się po schodach. Bez pochodni spuścić się tam nie można; bez świadomego przewodnika zgubiłby się człowiek na zawsze; chodziłby w ciemnościach pod ziemią, aż zemdlony, upadłby i umarł z głodu. Zawsze tam ciemna noc, nie ujrzysz nad sobą ani gwiazdki, ani błękitnego nieba; promień słoneczny nigdy tam nie dochodzi; cicho jest jak w grobie między trumnami; nie usłyszysz ani wiatru, ani mruczenia wody, ani gwaru ludzkiego, ani świergotania ptactwa.

A jednak w tych zimnych, ciemnych, ponurych i smutnych katakumbach, jakby w grobach, mieszkali kiedyś ludzie żyjący. Było to wtenczas, kiedy poganie prześladowali chrześcijan. Na ziemi za-

braniano chrześcijanom modlić się do prawdziwego Boga. Chronili się więc pod ziemię; tam się w pustych katakumbach schodzili, tam je sobie szerzej rozkopali. Dla ciał umarłych chrześcijan robili framugi w ścianach podziemnych i tam je grzebali.

Długie czasy prowadzili tak życie pierwsi chrześcijanie pod ziemią; to też przez ten czas ozdabiali swoje kaplice jak mogli; ściany i sklepienia zdobili malaturami, zwanemi freskami, ołtarze zdobili rzeźbami i posągami, każdy grób zamykano płytą z białego marmuru, na którym ryli napisy. Powiadają, że w tych katakumbach spoczywają zwłoki



Święty Piotr i Paweł w więzieniu.
(Zobacz objaśnienia rycin na str. 176.)

czternastu papieżów i stukilkudziesięciu tysięcy chrześcian. Wszystkich tych kryjówek podziemnych nikt jeszcze nie zwiedził, tak ich jest dużo i tak daleko się ciągną.

Pewien obywatel, który niedawno temu był w Rzymie, przyszedł także zwiedzić katakumby, ale zwiedził tylko jedno miejsce i tak tę podróż opisuje: W naznaczony dzień i na umówioną godzinę stawiłem się w towarzystwie, z ośmiu osób złożonem. Przyszliśmy do winnicy, obok kościoła św. Agnieszki. Dwóch przewodników z pochodniami czekało już na nas. Każdy z nas zapalił swój stoczek, i tak po długich wilgotnych schodach wstąpiliśmy do katakumb. Wszystkie ganki są wąskie; szliśmy więc jeden za drugim, niby duchy nocne w pogrzebowej procesyi, przy bladem świetle migających ogników. Czy spojrzysz na prawo, czy spojrzysz na lewo, wszędzie widzisz rzędami podłużne otwarte framugi, napełnione kościami i czaszkami. Gdzie jest obszerniejsza grota, tam była niegdyś kaplica, tam widać jeszcze ołtarz murowany z prostych kamieni, a na ścianach widać ślady malowideł, zakopconych od pochodni; widać ceglane półki (przegrody), na których składano ubogie przybory do odprawiania Mszy świętej. Obok ołtarzy stoją wyciosane głazy, które służyły pierwszym kapłanom za kazalnice i zarazem za konfesyonały. Gdy się idzie dalej, widać znowu długie kurytarze, a w nich groby i kości; za niemi jeszcze dalej prowadzą schody czyli pochyła ścieżka w dolne piętro czyli w niższe jeszcze katakumby. Jak było wyżej, tak jest i tutaj: ciemne kurytarze, framugi, kości, czaszki, cmentarze i kaplice. Tak w tym ciemnym i samotnym labiryncie jest żałobnie, że radbyś wyjść jak najprędzej na świeże powietrze, obaczyć znowu ludzi żywych, błękitne niebo i promienie słońca.

Chodząc po tych żałobnych miejscach pod ziemią, przypomina się, jakieto pierwsi chrześcijanie znosić musieli cierpienia, walki i męczeństwa za wiarę; gdy im na ziemi żyć zabroniono, zagrzebali się w głębinę ziemi, i jak jądra żołędzi, zagrzebane w ziemię, wypuszczają na wierzch i rosną w ogromne dęby, tak z tych zimnych katakumb wyszło później na wierzch chrześcijaństwo i rozrosło się po całej ziemi.*)

*) Opis katakumb wyjęliśmy z pięknej „Książki do czytania E. Estkowskiego, Część III.“ Polecamy tę książkę wszystkim polskim rodzicom, bo jest ładnie ułożona i dzieciom wiele nauki i pożytku przynieść może. Przeznaczona ona dla takich dzieci, co już jako tako po polsku czytać umieją. Cena za oprawny egzemplarz 1 m. 20 fenygów, z przesyłką 1 m. 40 fen. Można nabywać także z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.

PODRÓŻ BALONEM.

(Ciąg dalszy.)

Nakładli tedy w balon tyle piasku, ile sami ważyli, a sami wysiedli. Józef przygotował jedzenie, ale nikt go nie ruszył; wszyscy zajęci byli przemyśliwaniem, jakby z tego strasznego położenia wybrnąć.

— Piasek pali — odezwał się Ryszard — jakby go w piecu rozgrzano. A niebo takie pogodne, takie strasznie pogodne! Najmniejszej chmurki nie widać!

— Nie rozpaczajmy — odpowiedział na to Fergusson. — W tych okolicach może w godzinie pogoda zmienić się w nawałnicę deszczową.

— Oby Bóg dał! — westchnął Ryszard.

— Oby wiatr powstał! — powtórzył Józef. — Nieznośne to położenie; mamy żywności przynajmniej jeszcze na miesiąc! Ale wody, wody!

Biedni podróżnicy siedzieli na gorącym piasku i patrzeli przed siebie. Gdzie oko ich sięgło, jeno piasek a piasek, a górą wypogodzone niebiosa. Oczy im się nużyły tym jednostajnym widokiem. Choć bezczynni, czuli się zmęczonymi i osłabionymi.

Gdy noc nadeszła, postanowił Fergusson, otrzeźwić się nieco chodzeniem. Wstał i rzekł do towarzyszów:

— Chódźcie zemną!

— Ja nie zdołam ujść kroku — odrzekł pan Ryszard.

— A ja wolę lepiej spać! — dorzucił Józef.

— Strzeżcie się przyjaciele — ostrzegł ich Fergusson — sen i spokój może wam śmierć sprowadzić. Starajcie się otrząść ze zdrętwienia.

Obaj towarzysze jednak nie zważali na jego słowa, co widząc Fergusson, ruszył sam naprzód. Z początku szło mu się nieco ciężko, ale gdy uszedł kilkaset kroków, uczuł, że chodzenie dobry skutek na nim wywiera.

Szedł ostro i uszedł już z jaką milę, gdy nagle zachwiał się, w głowie poczuł zawrot. Odwrócił się tedy, chcąc wrócić, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zdało mu się, jakby przepaść jakaś była w koło niego a on w tę przepaść zapadał. Usiłował krzyknąć o pomoc na towarzyszy, ale głos jakby wsiąkał od razu w piasek i milkł. I oto on Fergusson, nieustraszony podróżnik, uczuł się nagle słabym i znękanym tak okropnie, że padł na piasek i począł się w nim układać, jak do snu wiecznego...

O północy przebudził się i spostrzegł, że spoczywa na ramieniu swojego wiernego Józefa, który zaniepokojony długą



Ścięcie św. Jana Chrzciciela.

(Zobacz obj. rycin na str. 176.)

nieobecnością swego pana, powstał był i idąc śladami pana, doszedł do miejsca, gdzie tenże bez przytomności leżał.

— Cóż wam się to stało, panie mój? — zapytał troskliwie.

— Nic, mój kochany chłopcze — odparł Fergusson — słabość chwilowa przyszła na mnie.

— Bogu chwała — odpowiedział Józef. — Ale teraz zaklinam was, panie, wstańcie, oprzejcie się na mnie i chódźcie nazad do balonu!

Gdy tamdotąd przyszli, rzekł Józef:

— Panie, trzeba radzić, jak wyjść z tego okropnego położenia. Mam taki plan: Ja zabiorę trochę żywności ze

sobą i pójdę wciąż przed siebie. Raz przecież musi się ta pustynia skończyć.

— Ten plan jest dowodem — odrzekł na to Fergusson, — żeś gotów za nas życie poświęcić i za to ci serdecznie dziękuję. Ale ten plan na nic się nie zda. Odczekajmy ranka, odczekajmy.

Obaj położyli się tedy w łodzi balonowej, nie ażeby spać, lecz ażeby zamknąć oczy i nie patrzeć na okropną pustynię.

Ledwie dzień zaświtał, powstał Fergusson i spojrzał na barometr. Spostrzegł, że żywe srebro w barometrze nic się nie zmieniło, a więc zmiany powietrza spodziewać się nie można. Spojrzał na niebo: pogodne, straszliwie pogodne.

— Rozpacz może człowieka ogarnąć! — mruknął sam do siebie.

Józef posłyszał te słowa, ale nic na nie nie odpowiedział.

Pan Ryszard zaś leżał, jak bezwładny. Był on najtęższy z nich wszystkich a pragnienie najwięcej mu dokuczało. Nerwy miał w całem ciele bardzo naprężone. Z gardła suchego zaledwie głos się mógł ochrypły wydobyć. Tedy owedy wzdychał i szeptał: »O kraju pragnienia, ciebie krajem rozpaczy nazwać trzeba!«

Pod wieczór tego okropnego dnia zesłabł i Józef tak bardzo, że prawie w głowie mu się mięszać zaczęło. Zdawało mu się, że ta wielka pustynia dokoła, to jezioro, pełne klarownej wody. Rzucił się w tę mniemaną wodę, a wstawał z ustami pełnemi gorącego piasku.

— Brrr!

Potem zaczął się włóczyć od naczynia do naczynia, w których woda dawniej była. W jednem spostrzegł kilka łyków wody na dnie. Pochwycił naczynie chciwie i przytknął do ust spieczonych.

Nim jeszcze wypić zdołał, usłyszał za sobą jęk p. Ryszarda: Wody! wody!

Wzruszyło się serce Józefa i choć wielkie pragnienie miał, przezwyciężył się i podał wodę Ryszardowi, który ją czemprędzej wypił.

Noc przeszła w okropnej parności i cichości. Józef i Ryszard nie czuli już prawie siły w sobie; zdawało im się, że czują, jak schnąć poczynają.

Ryszard otworzył oczy i wzrok jego padł na karabin, w pobliżu stojący. Rozpacz popchnęła mu rękę ku niemu; pochwycił go i chciał się zastrzelić. Józef spostrzegł to jednak i pochwycił także za karabin; przez niejaki czas wydzierali go sobie. Wtem karabin puścił i huk strzału rozległ się dokoła.

Fergusson jednak nie zwrócił na to uwagi, lecz zatonął okiem gdzieś w oddali. Naraz porwał się z siedzenia, oczy mu zamigotały i wielkim głosem zawołał, wskazując ręką w dal:

— Tam, tam w dole!

Na ten krzyk puścili Ryszard i Józef karabin, podnieśli się i spojrzeli w kierunku wskazanym przez Fergussona.

Pustynia jakby ożyła. Tak wyglądała z daleka, jak rozkołysane morze. Ogromne chmury piasku wznosiły się wysoko, słońce schowało się za czarnemi chmurami. Na balon zaczął się sypać deszcz piaskowy, z razu bardzo drobny.

— To samum (wiatr gwałtowny) — rzekł Fergusson.

— Tem lepiej — odpowiedział na to pan Ryszard, — bo tem prędzej umrzemy.

— Tem lepiej, — zawołał Ferguson, — bo będziemy żyli.

Potem zaczął czemprędzej piasek z łódki balonowej wyrzucać, a Józefowi polecił, ażeby około 50 funtów złotych kamieni wyrzucił. Teraz się Józef nie namyślał.

Wtem balon się ruszył. Samum, gwałtowny wiatr, nadleciał z szybkością błyskawicy. Gdyby podróżnicy nie byli przygotowali się do jazdy, byłby wiatr podarł balon. Tak zaś porwał go z sobą, a choć piasek sypał się kupami do łodzi, balon leciał, pchany ogromnym wiatrem. Podróżnicy nie widzieli, dokąd lecą, bo chmury piasku otaczały ich dokoła. Nie dbali też o to, radzi będąc, że wogóle z owego okropnego miejsca ruszyli. Pod wpływem wiatru przychodzili zwolna do siebie.

O godzinie trzeciej ustał wiatr. Gdy piasek przestał się sypać w oczy podróżnym i zaciemniać im widok, ujrzeli, że znajdują się nad oazą, bujną trawą i drzewami porosłą, która wśród pustyni leżała jak wyspa wśród morza.

— Woda! Tam jest woda! — zawołał Fergusson.

To powiedziawszy, otworzył klapę balonową i wypuścił gaz. Skutkiem tego balon spadł łagodnie i zwolna na ziemię. W 4 godzinach przelecieli podróżni 240 mil angielskich.

Zaledwie łódź balonowa dotknęła się ziemi, gdy pan Ryszard i Józef spieszno wysiadać zaczęli.

— Zabierzcie wasze karabiny a bądźcie ostrożni, — upomniał ich Fergusson.

Usłuchali go i zabrawszy flinty, puścili się prawie pędem ku źródłu. Nie zważali na to, że ziemia w tem miejscu była rozdeptana, nie zważali na ślady łap dzikich zwierząt, jakie tam widzieć było można.

Wtem zbliska ozwał się ryk straszny.

— To lew! — krzyknął Józef.

— Właśnie mi w porę przychodzi — odrzekł Ryszard, zębami zgrzytając. — Mnie się chce pić, więc idę do źródła, choćby tam nawet dziesięciu smoków stało.

— Ostróżnie, panie Ryszardzie! — odrzekł Józef. — Pamiętajcie, że od życia jednego z nas, życie wszystkich nas zależy.

Ale pan Ryszard nie słuchał, tylko z gotowym do strzału karabinem szedł naprzód. Wtem stanął. Pod drzewem palmowem ujrzał ogromnego lwa z czarną grzywą. Zaledwie lew p. Ryszarda zoczył, gdy skoczył ku niemu. Ale w tej samej chwili huknął strzał, a kula z karabinu Ryszarda przebiła lwie serce. Padł martwy na ziemię.

— To mi się podoba! — zawołał Józef.

Potem rzucił się pan Ryszard do źródła. Leżało ono głęboko, ocienione dokoła drzewami i wysokiemi trawami. Chcąc do niego dojść, trzeba było zejść po kilku schodach. Pan Ryszard nie miał cierpliwości schodzić po schodach, lecz położył się jak długi na nich, zesunął się aż do wody i zaczął pić. Józef nie namyślając się długo, uczynił taksamo. Pili... a jak chciwie, to tylko ten wyobrazić sobie zdoła, co jak oni przebył męczarnie pragnienia. Przez pewien czas nie było niczego innego słychać, jak chłeptanie wody.

Józef prędzej ustał i podnosząc się, rzekł:

— Panie Ryszardzie, nie za wiele, ażeby nam nie zaszkodziło.

Ale pan Ryszard jeno pił a pił, a wreszcie włożył głowę i ręce w wodę, rozkoszując się przyjemnym chłodem wody.

— A pan Fergusson? — zawołał Józef.

Te słowa zaraz przywiodły p. Ryszarda do upamiętania. Podniósł się, przyklął na kolano i napełniwszy butelkę wodą, począł wchodzić po schodach do góry.

Naraz stanął, bo spostrzegł, że coś czarnego stoi u wejścia na schody i zastawia im drogę.

— Patrz Józefie! Cóż to może być?

Jeszcze tych słów nie dokończył, gdy straszny ryk ozwał się znowu.

— Znowu lew! — krzyknął Józef.

— Nie, to jest lwica! — odrzekł Ryszard. — Czekaj ty, bestyo, ja ci tu wnet ucztę sprawię!

Czemprędzej nabił swój karabin i wypalił, ale w tej chwili zniknęła lwica z przed wyjścia.

— Naprzód! — zawołał teraz pan Ryszard.

— Nie, nie, na miłość Boską nie! — wstrzymał go Józef. — Wasza kula nie zabiła zwierza i może go tylko lekko raniła. Ja jestem przekonany, że lwica czeka na nas u wyjścia i kto z nas wyjdzie, ten jest zgubiony.

— Ale cóż mamy robić? Przecie musimy ztąd wyjść!

— W tem moja głowa — odpowiedział Józef. — Weźcie odemnie, panie, flintę, a mnie dajcie karabin, z któregoście codopiero wystrzelili.

— Co chcesz począć?

— To zaraz zobaczycie.

Józef zdjął potem swój surdut, za-

wiesił go na końcu lufy karabinowej i wytknął tego straszka po za schody.

Nie zawiódł się; lwica ujrzawszy surdut, rzuciła się z wściekłością na niego. Pan Ryszard wypalił do niej i zranił ją wprawdzie ciężko, ale nie zabił. Lwica potoczyła się ze schodów i ściągnęła Józefa z sobą, który miał się już za zgubionego, gdy wtem znowu strzał huknął a pan Fergusson stanął u wejścia z dymiącym się jeszcze karabinem w ręku. Jozef powstał, przekroczył z uśmiechem zwycięzcy cielsko lwicy i podał z niskim ukłonem panu swojemu butelkę napełnioną wodą.

Fergusson przyłożył ją do ust i jednym haustem prawie wypił ją do połowy. Potem wszyscy trzej podziękokowali z głębi serca Boskiej Opatrzności za cudowne prawie uratowanie.

Tymczasem nastał prześliczny wieczór. Podróżni zjedli w wielkiej wesołości wieczerzę, przyrządzoną przez Józefa, a potem wyciągnąwszy się wygodnie w trawie, paląc cygara, gwarzyli wesoło. Niedługo jednak sen ich zmógł, bo wszyscy bardzo byli zmęczeni tem wszystkiem, co przebyli.

Na drugi dzień, 7 Maja, zaświeciło słońce, ale promienie gorące nie zdołały przebić się przez gęste liście drzew oaży. Ponieważ jedzenia mieli w bród, przeto Fergusson postanowił, odczekać na tem miejscu pomyślnego wiatru.

Józef zniósłszy z balonu przybory kucharskie, gotował i smarzył różne potrawy. Gdy pan Ryszard spostrzegł, jak przy tem rozrzutny był co do wody, westchnął sobie i rzekł:

— Jak to dziwnie czasem wesołość następuje po smutku. Jakiż ogromny zbytek wody mamy teraz, a przed kilkunastu godzinami ani kropelki! Ach, Bogu chwała, że te męczarnie się skończyły; mnie się już rozum mięszał.

— Mój kochany — odrzekł mu na to Fergusson, — gdyby nie Józef, tobyś teraz nie mógł już filozofować o zmiennych kolejach ludzkiego powodzenia.

— Poczciwy chłopiec! — zawołał Ryszard, podając obie ręce Józefowi.

— Nie potrzeba, — bronił się Józef, — nie warto o tem mówić.

— Słabe z nas jednak istoty, — odezwał się znów Fergusson, — gdy trochę pragnienia tak nas zmęczyć zdoła.

— Woda musi być przeto bardzo ludziom do życia potrzebną, — zauważył Józef.

— Oczywiście — powtórzył mu Fergusson; — człowiek może wytrzymać dłużej, nie jedząc, niż nie pijąc. (C. d. n.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Ścięcie św. Jana Chrzciciela. Chrzcicielem nazywa się Jan św. dla tego, ponieważ w rzece Jordanie chrzcił wielu ludzi, a mianowicie, że ochrzcił tam samego Pana Jezusa. Św. Jan jest ostatnim z proroków Starego Testamentu, przepowiadających przyjście Zbawiciela na ten świat. Był on więcej, niż prorokiem, bo już nie przepowiadał, ale wskazał ludziom Zbawiciela, który prawie razem z nim się urodził. Jest on zarazem ze wszystkich świętych Starego i Nowego Testamentu największym, gdyż Pan Jezus tak wysoko go cenił, że go uważał za wyższego od anioła. Św. Jan został ścięty na rozkaz króla Heroda, którego do tego namówiła tanecznica, córka Herodiady.

Św. Piotr i Paweł w więzieniu. Kiedy krótko przed śmiercią męczeńską, zamknięto tych dwóch Apostołów do więzienia rzymskiego, wtedy i w więzieniu nie ustali w gorliwości nauczania wiary Chrystusowej. Zgromadzali w koło siebie współwięźniów i głosili im prawdy wiary św. (To właśnie przedstawia obrazek na str. 172). W niejaki czas potem ścięto głowę św. Pawłu na rodze ku Ostii, pół godziny drogi od dzisiejszego kościoła św. Piotra. Odcięta głowa św. Apostoła miała trzy razy podskoczyć, a gdzie się ziemi dotknęła, tam cudownym sposobem źródło wytrysło. Te trzy źródła płyną jeszcze do dziś w kościele, jaki tam ku czci św. Pawła zbudowano. Św. Piotra zaś ukrzyżowano głową na dół na tem miejscu, gdzie się dziś wznosi kościół św. Piotra.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Prawidła pisowni polskiej.

(Dokończenie.)

b) Przysłówki z prefiksami: **co, jak,** piszą się osobno: co rychlej, jak najlepiej;
razem zaś z sufiksami: **to, że, kolwiek, bądź, kroć:** jużto, jakto; tamże; ktokolwiek, jakbądź, ilekroć;
nawet z dwoma sufiksami: tenżeto, ileżto;
że i przy słowie razem: będęż, ale **to** osobno: jest to, był to.

c) Przysłówek **nie** pisze się razem tylko wtedy, jeżeli wyraz, z którym go łączymy, nabiera przez to osobnego znaczenia: nieraz (parę, wiele razy), niechcący (przypadkiem), nieszczęśliwy (łać. miser), nieśmiały (franc. timide), niesmak (franc. degout); a więc także **niema** (il n'y a pas, es giebt nicht): niema pana X. w domu, niema tej książki w naszej bibliotece, ale: on nie ma pana X. w swoich spisach, pan X. nie ma tej książki).

Zresztą pisze się **nie** zawsze oddzielnie: nie szczęśliwy bierze tym razem, lecz zasłużony; nie raz, nie dwa razy im to mówiłem, ale powtarzałem bez końca; nie smak o tem stanowi i t. p., zwłaszcza zaś, jeżeli zaprzeczenie odnosi się do słowa (łącznika lub orzeczenia): on nie jest szczęśliwy, nie chcąc być natrętnym, nie śmiał mu spojrzeć w oczy i t. p.; wyjątek stanowią tylko słowa, których się nie używa bez **nie,** jak: niedomagać, nienawidzieć.

d) Przyimki złożone piszą się razem: naokoło, wpośród, poza, ponad i t. p.; a osobno tylko **z:** z pośród, z popod, z za i t. p.; oczywiście także formy wzdłużone przyimków przed imionami: przede drzwiami i t. p.

e) Spójniki złożone razem: zatem, dlatego, atoli.

f) Zabytek starego aorystu **by** pisać należy razem: 1) w wyrazach aby, oby, żeby, gdyby, chociażby i t. p.

2) jako cząstkę składową t. zw. trybu warunkowego: chciałbym, jabym chciał, radzibyśmy, człowiekby sobie odpoczął i t. p. Osobno pisze się **by** tylko wtedy, jeżeli zaczyna zdanie, n. p. by poznać kraj.

Powyższe prawidła wydane zostały w osobnej książeczce p. t: „Uchwały akademii w sprawie pisowni polskiej“ w Krakowie, nakładem Akademii Umiejętności. W książeczce tej znajdują się także liczne przypiski do niektórych prawideł, wyjaśniające, dla czego tak, a nie inaczej pisać należy. Polecamy tę książeczkę. Można ją nabyć z księgarni Spółki Wydawniczej w Krakowie. Każda księgarnia polska może się o nią postarać. Cena (zdaje nam się) nie przenosi 1 marki.

Praktyczne rady.

— **Szkarlatyna.** Szkarlatyna zjawia się raz, czasem dwa razy do roku i zabiera liczne ofiary. Zazwyczaj grasuje między dziećmi, nie oszczędza jednak i dorosłych. Znaki jej przyjścia są: ból głowy, nacisk na żołądek i piersi, znużenie, gorączka i dreszcze zimne na przemiany. Choroba ta wiele zabiera dzieci, a jednak tak łatwo ją wodą wyleczyć! Dzieci można w dwóch dniach wyratować; u dorosłych wyleczenie postępuje wolniej.

Szkarlatynę wyleczyć można w następujący sposób:

Jeżeli pojawiły się wszystkie oznaki tej choroby u dziecięcia, mniejsza o to, czy ono jeszcze na rękach czy do szkoły już chodzi, natenczas zmaczaj koszulę w gorącej wodzie, do której dorzucić trzeba trochę soli, wykręć ją tak, aby nic nie ciekło, i naciągnij ją leżącemu w łóżku dziecku. Zawiń potem mocno w ciepłą derkę, aby nic powietrza do ciała dójść nie mogło i tak zawinięte niech leży przez 1 godzinę. Gdy zdejmiesz koszulę, całe ciało dziecięcia zasiane będzie wysypką szkarlatynową. Gdyby gorączka była nader wielką, trzeba omyć dziecko całkowicie, lecz prędko i położyć je napowrót w łóżko. W ciężkich wypadkach, gdy gorączka rośnie a chory jest niespokojny, trzeba mu dać koszulę 2—3 razy na dzień, rzadko kiedy cztery razy. Stósować się należy według rozpalenia i stopnia gorączki. Zmniejsza się gorączka, natenczas odstęp czasu nowego zamaczania można przedłużyć.

Na to tylko pamiętać należy, aby przy dalszych zabiegach używać zawsze wody zimnej z octem. Zachować też trzeba wielką ostróżność przy zakrywaniu i odkrywaniu; okryć trzeba dobrze, lecz nie za dużo, nie za ciężko. Zdjąwszy mokrą koszulę ubierz chore dziecko w czystą. Postępując tak, w 4 a najwyżej 6-ciu dniach uleczysz zupełnie szkarlatynę.

Uwaga. W chorobie tej rzadko kiedy jest apetyt. Nie zmuszaj dziecka do jedzenia!

Pragnienie jest zazwyczaj silne. Najlepszym chłodnikiem jest woda z dodatkiem cokolwiek cukru, nieco wina białego lub czerwonego. Mleko także jest dobre. Trzeba się trzymać zasady: mało pić, ale często.

Ks. Seb Kneipp.

— **Liście z bzu czarnego.** Kto na wiosnę chce soki i krew wyczyścić i zależałe materye w lekki i naturalny sposób wydzielić, ten niech weźmie 6—8 liści bzu czarnego, pokraje cienko, jak tytoń i gotuje je przez 10 minut. Przez dłuższy czas pije się naczczo filiżankę tego odwaru a w godzinę później spożywa śniadanie.

— **Kartofle młode gotowane bez wody.** Kartofle młode zawierają w sobie bardzo wiele części wodnych. Należy się więc starać, aby tej wodnitości nie powiększyć przez gotowanie w wodzie. Obrane na pięć minut przed gotowaniem kartofle włożyć w garnek żelazny lub rądel, na kartofle położyć łyżkę masła, trochę siekanej pietruszki i soli, przykryć i postawić na blasze na pół godziny; (nie powinny nigdy stać na ogniu za długo, bo się przypalą.)

— **Poczwarki komarów w uszach końskich.** W pewnem gospodarstwie spostrzeżono w połowie sierpnia wielką zmianę w wyglądaniu niektórych koni. Przywołany lekarz przypisał to skutkom pracy w czasie gorącym i niepokojeniu koni przez muchy; zaprzestano więc zbyt ciężkich robót i powiększono ilość paszy przeznaczonej dla koni. Przezorność ta jednak nie powstrzymała złego, okazało się bowiem, że nietylko konie robocze, ale i źrebaki, które do roboty używane nie były, schudły bardzo i nędzniały coraz więcej. Pierwszych

dni września spostrzeżono, że jednej klaczy ciecze z ucha, a po bliższem zbadaniu przekonano się, że wszystkie słabe konie i źrebaki miały poranione uszy. Po kilkakrotnem użyciu wody karbolowej (0·02) do szprycowania, zaczęły wydobywać się z uszu tych koni robaczki, a lekarz przywołany znalazł całe gniazda drobnych komarów, które się w nich zalęgły i zalecił dalsze użycie szprycowania wodą karbolową i smarowania takim samym olejem. Jak bardzo dotkliwie dokuczały koniom te żyjątka dowodzi to, że w kilka tygodni po zupełnem zagojeniu się zranionych ranek, konie nie mogły przyjść do siebie i wyglądały osłabione i nędzne. Podobne wypadki, wszelako w lżejszym stopniu, zdarzały się już nieraz hodowcom koni. Utrzymują oni nawet, że konie rasy angielskiej daleko łatwiej podlegają im, aniżeli konie arabskie, które już z natury mają kształt ucha mniejszy i chroniący silniejszem owłosieniem od napaści owadów liczniejszych daleko w krajach gorących, aniżeli w zimnych.

— **Obchodzenie się z ziarnkami owocowemi w ziemi.** Zdarza się często, że zasadzone ziarnka owocowe wschodzą w małej bardzo ilości; przyczyną tego niepowodzenia jest nieumiejętne obchodzenie się w ziemi. Niewłaściwem jest bardzo pozostawianie ziarnek w stanie zeschłym w ciągu zimy podczas zużytkowania owoców, a następnie sadzenie ich na wiosnę bez żadnych poprzednich starań. Ziarnko wyjęte z owocu powinno być zaraz zagrzebane w piasku lub w pulchnej ziemi, a nadto wymagają niektóre ziarna owocowe poprzedniego skiełkowania, W tym celu należy wziąć piasku lub ziemi, a ubiwszy ją mocno w wazonku lub skrzynce, mającej otwory u spodu, rozsypać po niej ziarnka. Następnie daje się druga warstwa piasku lub ziemi, później znów ziarnka i tak dalej przesypuje się trzy do czterech razy w jednym wazonku. Zwilżywszy nieco ziemię stawia się wazonek w miejscu mającem parę stopni ciepła i pilnuje, by przez całą zimę zachować ten sam stopień wilgoci. Na wiosnę należy wcześnie przygotować grządkę i ziarnka skiełkowane wysadzić z wazonków. Ziarnka orzechowe i brzoskwiniowe należy sadzić ostrożnie i pojedyńczo, obracając kończastą stroną ku dołowi.

Rozmaitości.

* **Pewien biskup** doczekał się bardzo późnego wieku, liczył już przeszło 100 lat. Gdy znajomi jego pytali się go, jakich reguł się w życiu trzymał, że tak długo przy czerstwem zdrowiu pozostawał, odpowiadał im: »Gdy byłem młody, żyłem tak, jak gdybym był stary, i dla tego czuję się teraz młodym, gdy jestem starszy.«

* **Bilion.** Maszyna, która przez minutę zrobi 100 igieł, zrobiłaby, gdyby bezustannie dzień i noc była w biegu, w jednym roku nie więcej jak pięćdziesiąt dwa miliony pięćset dziewięćdziesiąt sześć igieł. Podług tego obliczenia musiałaby maszyna ta bez odpoczynku choćby na chwilę, dwadzieścia tysięcy lat pracować, nim by bilion igieł ukończyła.

* **Zmyślność zwierząt.** Ciekawe przykłady zmyślności zwierząt przytacza jeden z uczonych angielskich. Tak n. p. istnieje rodzaj ryb żarłocznych, które doskonale znają użytek procy. Czychają one na owady, siadające na kamieniach wybrzeża i nadzwyczaj celnie »strzelają« do nich kroplami wody niekiedy z bardzo znacznej odległości. Bardzo również zmyślnym jest szczupak rybak, pojawiający się na wybrzeżach Anglii. Ma on na głowie trzy elastyczne narośla, zabarwione różowo, które służą jako wabik na ryby. Szczupak chowa się cały w piasku, tak, iż tylko różowawe narośla wystają nad powierzchnię wody. Drobne rybki biorą wabik za robaczki i podpływają tak blisko, iż szczupak bez zachodu sprawia sobie z nich obfitą ucztę. Niedawno jeden z dyrektorów londyńskiego ogrodu zoologicznego zauważył rzecz następującą. W piwnicy stała oliwa w butelce z bardzo wąską szyjką. Otóż szczury przegryzły ołowiany papier, którym obwiązana była szyjka butelki, poczem kolejno siadały na butelce, zanurzały ogony w oliwie i dawały je oblizywać towarzyszom.

* **Katolicy w Stanach Zjednoczonych** Według wykazu statystycznego katolicka ludność w Stanach Zjednoczonych wynosi 8,657,221 dusz, t. j. o 2 miliony przeszło więcej, aniżeli wykazuje urzędowe obliczenie z r. 1890. Pochodzi to ztąd głównie, że biuro statystyczne najprzód nie uwzględniło w swej statystyce kościelnej dzieci chrzczonych, liczących niżej lat 9, podczas gdy dzieci stanowią także 15 proc. ludności katolickiej. W Stanach Zjednoczonych znajduje się 8042 kościołów, 3552 stacyi, 1683 kaplic, 223 domów sierót z 25,518 sierotami, 54 seminaryum duchownych, 793 wyższych zakładów naukowych, 3406 szkół parafialnych ze 700,753 uczniami i 9062 księży.

* **Kiedy ludzie już umieli robić cegły?** Na 3400 lat przed Narodzeniem Chrystusa Pana, była w Egipcie piramida, zbudowana z cegieł, więc lat temu 5292.

2600 lat przed Chrystusem, miasto Babilon miało mur naokoło. Długość tego muru wynosiła 80 kilometrów, miał on 66 metrów wysokości a 16 metrów szerokości. Było to wszystko zrobione z cegły.

Pismo święte zaś wspomina, że na 2000 lat przed Chrystusem w Egipcie byli garncarze najlepsi w całym świecie.

Cegły te znane w starożytności były o wiele większe od naszych — wysuszone na słońcu, a miały w sobie kawałki słomy siekanej, trzciny i innych roślin, co miało dodawać im mocy.

* **Pióro stalowe** wcale nie jest wynalazkiem naszego wieku jak powszechnie sądzą. Odkryto ślady istnienia jego w wiekach średnich, a mianowicie w stuleciu XIII. W pewnej kronice francuskiej znaleziono teraz wzmiankę, że pisarz, który sfałszował

rękopis Roberta d'Artois, celem lepszego naśladowania pisma, używał pióra stalowego. Nadto pod Aosta znaleziono rozszczepiony rylec rzymski, podobny zupełnie do naszego pióra. W wieku XV t. j. w epoce wynalezienia druku, używano również piór stalowych. Jeszcze przed dwustu laty pióra stalowe dla doktora Pristleya wyrabiała fabryka Hurrisona w Birminghamie. Wszakże pierwsze pióro stalowe, z wymienieniem daty wynalezienia go, zapisane jest w holenderskiej księdze patentów pod r. 1717. — W sto lat później, t. j. w r. 1816, piór stalowych używali już wszyscy. Pióra metalowe wyrugowały ostatecznie z użycia gęsie z chwilą wynalezienia prasy ręcznej dla ich wyrobu.

* **Powiadają**, że pająki bardzo lubią muzykę i jest to rzeczą dowiedzioną, że chętnie zbliżają się do instrumentu, jeżeli ten wydaje dźwięki łagodne i ciche; od zbyt głośnych zaś uciekają. Angielski przyrodnik Boyos wykazał wszakże, iż przyczyną tego pozornego zamiłowania do muzyki jest omyłka, jaką pająk popełnia, biorąc brzęczenie narzędzia muzycznego za brzęczenie muchy, stanowiącej jak wiadomo naturalny pokarm pająka. Boyos robił takie próby, że dotykał naprzykład kamertonem liścia podtrzymującego przędzę pająków ogrodowych; wtedy pająk siedząc w pośrodku pajęczyny zaczynał szybko obracać się w koło i dotykać przedniemi nogami nici pajęczyny, aby przekonać się, która z nich się kołysze i z tego kierunek dźwięku odgadnąć. Dowiedziawszy się tym sposobem, w którą stronę ma biedz, pająk szybko zbiegał aż do samego kamertonu rzucał się na niego ogarniając go swemi nóżkami i póty po nim biegał dopóki kamerton brzęczał. Nie dźwięki więc nęcą pająka lecz wrażenie, spowodowane dźwiękami na niciach pajęczyny i pozwalające pająkowi mniemać, że idąc w kierunku dźwięku, znajdzie pokarm, dla takiego jak on łakomcy, zawsze pożądany.

* **Strachy na wróble.** Wróble to szary złodziej między ptakami, kradzie i niszczy co mu tylko do smaku przypadnie. Żywi się przeważnie zbożem jak pszenica, proso, groch i warzywem: jak sałata, młoda kapustka, młoda brukiew, nie gardzi i kwiatami jak rezeda, lisi ogon itd. a na deser zabiera tereśnie, wiśnie a nawet świętojanki. Gdy tych ostatnich jeszcze nie ma, obczczudli z apetytem pączki na kwicie agrestu, świętojanek, a nawet grusz. Ledwo wtedy gdy go bieda naciśnie puści się za robakiem lub muszką. Poznali się na nim w krótkim czasie Amerykanie, którzy z wielkim mozołem wróbli kilkanaście z Europy sobie sprowadzili. Już w parę lat tak się wróble w amerykańskich lasach i farmach rozmnożyły i rozzuchwaliły, że wszystkie inne drobniejsze i pożyteczniejsze ptaszki znikły z okolic przez wróble opanowanych. Teraz spostrzegłszy Amerykanie co się dzieje i przekonawszy się o szkodliwości wróbla, wyznaczyli znaczne nagrody za wytępienie tego rabusia i w istocie dziwić się trzeba, dla czego rządy niemieckie tego szkodnika cierpią, a przecież on więcej szkody zrobi, niż jastrzębie, czaple i inne drapieżne ptaki. W niektórych stronach tępią wróble w ten sposób, że zawieszają na budynkach z gliny wypalane do donicy podobne gniazda. W tych gnieżdżą się wróble — skoro młode są na wylocie natenczas je wybierają i smarzą.

Skoro wiosna się ożywi i pączki zaczną nabrzmiewać, trzeba się przed wróblem mieć na baczności, gdyż on w braku innych łakoci do nich się przyczepi, a przedewszystkiem pączki świętojanek i grusz szpalerowych tak zwanych francuskich są w wielkim niebezpieczeństwie. Najtańszym i najłatwiejszym środkiem czyli strachem na wróble są k o l o r o w e n i c i, które się na krzyż krzaka świętojankowego, agrestowego lub też drzewka gruszkowego poprzewięzuje. Kolor nici powinien być jasny i bystry n. p. biały i czerwiony, biały i niebieski, żółty itd. — oprócz czarnego, wszystkie kolory są dobre. Tak samo zabezpiecza się na zagonach sałatę, groszek, wschodzącą rozsadę, maczek itd. rozpinając kolorowe nici, lub bawełnę ze trzy cale nad ziemią na kołeczkach w każdym rogu zagona zatkniętych. Na wiśniach i tereśniach, jeżeli drzewa nie są zbyt wielkie, robi się stracha innego w ten sposób. W perkę (kartoflę) nautyka się piór z skrzydał od kury lub gołębia, że to wygląda jak drapieżny ptak, potem zwiąże się tę perkę mocno szpagatem i powiesi takich sztucznych ptaków kilka na drzewie, ale tak, aby skośnie wisiały. Każdy powiew wiatru poruszy tym ptakiem i odstraszy wróbli. Skoro nadejdzie czas, gdzie już strachy niepotrzebne, to je zdjąć trzeba, inaczej i do nich się w końcu śmiały i czelny wróbel przyzwyczai i nie będzie się bał.

ZŁOTE MYŚLI

rozmaitych naszych pisarzy.

Kiedy szable w pochwach rdzewieją, a pługi i rydle się błyszczą, kiedy więzienia próżne, a szpichlerze pełne, kiedy schody przy kościołach zabłocone, a do więzienia trawą zarosłe, kiedy lekarze piechotą chodzą a kupcy na koniach jeżdżą, wówczas można powiedzieć, że ludzie dobre czasy mają.

To, co człowiek u m i e i r o z u m i e, jest n a j m n i e j s z ą c z ę ś c i ą tego, c z e g o n i e u m i e i n i e r o z u m i e.

Człowiek w szczęściu nie widzi tego, że go wszyscy kochają. Człowiek w nieszczęściu zanadto zaś widzi, że go wszyscy unikają.

Niejeden przez to bardzo małym został, że chciał wielkiego udawać.

Każdy pieszczotliwy kwiatek lekko z ziemi wyrwać można, lecz złego zielska i obiema rękoma nie wydrzesz. Tak też i z ludźmi; dobre zalety zepsują się rychło, ale złych nałogów nie wyrwiesz prędko.

Szlachetnego człowieka i jednem słowem można skaleczyć, a podłemu i pałką nic nie zrobisz.

Wdzięczny człowiek to jak dobra rola; ziarno, które w nią wrzucisz, dziesięć razy tyle ci wraca.

ŻARTY.

Rozczarowany.

Dłużnik: Chciałbym rad zapłacić mój dług...

Wierzyciel (z radością mu przerywając): Bardzo pięknie z pańskiej strony.

Dłużnik: Lecz nie mogę...

Porządna gospodyni.

Mąż: Kto wypił moję gorzałkę z butelki?

Żona: Ja, bo nie cierpię tego brzydactwa w domu.

Naiwność dziecięcia.

Od mocnego picia dostał pewien starzec zadziwiająco czerwony nos. Swego 5-letniego wnuka zaś napominał, aby potrawy zawsze jadał z chlebem, bo przez to dostanie czerwone policzki. Wnuk przypatrzywszy się dobrze nosowi dziadka odpowiada:

— A dziadek niezawodnie w swej młodości wiele musiał kłaść chleba w nos, bo taki czerwony jak burak.

— Słuchaj Jędrzej, ty pijesz, co?

— Tylko za zdrowie wielmożnego pana...

Ze szkoły.

Jnspektor szkolny: „Malcze: czy możesz mi powiedzieć, że zima jest przyjemną?“

Michał: A dlaczegożby nie, proszę pana inspektora, przed dwoma latami, kiedy to pan nauczyciel chorował przez 6 tygodni to zima była bardzo przyjemna.

Między przyjaciółmi.

— Słuchaj, mój kochany, po co ty nosisz coraz inne okulary?

— To pomniejszające, to powiększające.

— A to po co?

— Powiększające do obiadu, pomniejszające do roboty.

Jeżeli pieniądze robią ludzi fałszywymi — za to i ludzie fałszują pieniądze...

W sądzie.

— To pański podpis?

— Nie zdaje mi się...

— Namyśl się pan dobrze...

— Nie, nie mogę powiedzieć...

— Więc to nie pański podpis?

— Nie.

— No, to proszę tu się podpisać, a ja porównam i zobaczę...

— Kiedy, proszę pana sędziego, ja nie umiem pisać.

Nasze dzieci.

— Czego krzyczysz Stasiu, jeść chcesz?

— Nie chcę.

— Pić chcesz?

— Nie chcę.

— Więc czegoż chcesz?

— Krzyczeć chcę!

— A to ci panie ten Edisson! znowu rzucił ludziom nowy wynalazek!

— No, cóż takiego?

— Wyobraź sobie, wynalazł telegraf bez drutu... Geniusz! Geniusz!

— Geniusz, to prawda, ale żeby on wynalazł sposób wygrania na loteryi bez stawienia na niej, to byłby jeszcze większy geniusz.

Od Redakcyi.

Rozwiązanie zagadek i nagrody ogłosimy w przyszłym numerze »Światła«.

Treść zeszytu II „Światła“:

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.